

Teksty Drugie 2005, 6, s. 85-94



# **Prywatne i zawodowe okoliczności poezji.**

Piotr Michałowski

## Prywatne i zawodowe okoliczności poezji

Wspomnienia i wypowiedzi okazjonalne wybitnego uczonego skłonni jesteśmy traktować jako boczny tor jego twórczości, *opus minor*, produkt półpoważny, przysłonięty długą półką rozpraw naukowych. Zwłaszcza tekstem drobnym z pogranicza eseju i felietonu długo nie przyznawaliśmy tej samej rangi, co tomom wypełnionym teorią i historią literatury. Jednak widoczny dziś proces eseizacji nauki, związany z silnym upodmiotowieniem języka humanistyki, wynikający z postmodernistycznego równouprawnienia odmian dyskursu, to zjawisko, o którym pisać tu nie chcę. Chodzi bowiem nie o nurt alternatywny, wypierający dawny styl prac badawczych, ale równoległy i komplementarny – bliższy dawnym wzorcom popularyzatorstwa z jednej, zaś autobiografizmowi z drugiej strony. W Edwarda Balcerzana pisarstwie ta „łżejsza” jego część, będąca domeną zwłaszcza kilku ostatnich lat, spełnia rolę podwójną: po pierwsze w pewnym stopniu jest wakacyjnym zawieszeniem zobowiązań naukowca i języka instytucji, a więc chwilowym zejściem z katedry; po drugie – istotnym suplementem, który ma zagospodarować zaniedbane wcześniej obszary prywatności, dopełnić naukę wyłaniającym się z anonimowości podmiotem i zrekompenzować czas dlań „utracony” (choć niezmarnowany).

Co ciekawe, szybko narastająca literatura dokumentu osobistego Balcerzana tworzy komplementarną całość z symetrycznie snutymi wspomnieniami i reportażami Bogusławy Latawiec<sup>1</sup>. Pisarskie małżeństwo przedstawia się tu rolą narratora i drugoplanowego bohatera, toteż często znajdujemy te same zdarzenia z ich wspólnego życia, ślady udziału w tych samych imprezach literackich i podróżach, ale widziane z przeciwnych perspektyw. Najciekawsze wydaje się jednak zesta-

---

<sup>1</sup> M.in.: B. Latawiec *Gęstwina*, Warszawa 2001.

wienie odmiennych geograficznie życiorysów: ona reprezentuje osiadły Poznań i tropi genealogię rodzinną (zwłaszcza w konfabulowanej rekonstrukcji listów swego dziadka z frontu I wojny światowej<sup>2</sup>), natomiast on swą najdalszą pamięcią wędruje na wschód – kresowy, a więc wielokulturowy, pograniczny, ruchomy i nomadyczny. Interesujące antropologicznie spotkania: okcydentalizm i orientalizm, topika miasta i topika wędrowki, tożsamość odnaleziona i tożsamość poszukiwana, monolityczna i wielokrotna... – to tylko niektóre wątki, które mógłby podjąć przyszły badacz tej zespolonej, podwójnej biografistyki, w której niby między równoległymi lustrami, prócz referencji, zachodzi również interferencja, Leśmianowska „gra odbić wzajemnych”. Ciekawym przedmiotem badań mogłoby się stać nałożenie perspektyw, przepływy, zgodności i różnice obu narracji. Ale równie fascynujące są tory fabuł osobnych, sięgające w rozbieżną przeszłość dzieciństwa i przodków.

Po zbiorze *Perehenia i słoneczniki*<sup>3</sup> kolejną próbą fragmentarycznej autobiografii intelektualnej Balcerzana, a więc próbą połączenia nurtów zainteresowań odpowiadających kolejnym etapom życia, są *Zuchwałstwa samoświadomości*<sup>4</sup>. Obydwie książki obejmują jeden czas biograficzny, toteż powtarza się w nich wiele miejsc i zdarzeń, ale ta sama przeszłość opowiedziana została inaczej. W *Perehenii* chodziło bowiem o odnalezienie autobiograficznych źródeł w literaturze (powieści i wierszach Balcerzana), odcedzenie surowca przedwcześnie przetworzonego w fikcję; chodziło o proces odzyskiwania prawdy pamięci z tygla wyobraźni. „Spóźniony” pamiętnikarz zaangażował więc do swego przedsięwzięcia poetę i prozaika, by poddać ich przesłuchaniom w zmuszonym dochodzeniu „jak to było naprawdę”. Natomiast w *Zuchwałstwach* podmiotem jest dociekający nieco innych aspektów swego życiorysu literaturoznawca. Podejmuje on wyprawy do źródeł swych zainteresowań naukowych i akademickiej profesji; szuka pierwotnych związków przyczynowo-skutkowych między życiem zawodowym a prywatnością, a potem połączeń wtórnych, czyli przejść w kierunku odwrotnym: od zainteresowań tekstami do skrywającej się za nimi prywatności cudzej. Są to zatem książki komplementarne, ujawniające w wielu miejscach powiązania i wzajemne przemieszczenia motywów; wyobrażalne są nawet konsekwencje skombinowanych tytułów: *Zuchwałstwa perehenii* i *Słoneczniki samoświadomości*; jednak zaznaczona okładkami osobnych książek podwójność czy dwuaspektowość podjętych narracji manifestują zarazem wolność w kreowaniu tożsamości otwartej i wielotorowej, wskazującej na odrzuconą utopię ujęcia całościowego, jakim byłaby wielokondygnacyjna budowla autobiografii: z parterem ukraińskiego dzieciństwa, na którym wzrastały piętra kolejnych etapów dochodzenia od czytelniczych zaciekawień do poezjowania, a następnie do krytyki poezji i nauki o literaturze. W „odzyskiwaniu” prywatności li-

<sup>2</sup> B. Latawiec *Kochana Maryniuchna*, Warszawa 2003.

<sup>3</sup> E. Balcerzan *Perehenia i słoneczniki*, wstęp S. Sterna-Wachowiak, Poznań 2003.

<sup>4</sup> E. Balcerzan *Zuchwałstwa samoświadomości*, Lublin 2004.

teraturoznawcy, który zwykle przemawiał językiem instytucji, postrzega autor zadanie trudniejsze niż było to w wypadku pisarza. Genealogia badacza okazuje się bowiem wtórna wobec narodzin poety i czytelnika poezji cudzej, toteż profesja akademicka nie znajduje mniej korzeni bezpośrednio w życiu niż w literaturze. Sięgać więc trzeba do najdalszych i niepozornych śladów tych zainteresowań, a były to: wieczór autorski Michała Zoszczenki, lata szkolne spędzone w Szczecinie, nastoletni debiut poetycki w „Świecie Młodych”...

Część pierwsza – *Literackie inicjacje, przyjaźnie, przestrzenie* – opowiada o pierwszych wtajemniczeniach, których wspólnym wyznacznikiem była wielość poddyktowana przeprowadzkami, zmianami upodobań i lektur, a więc: wieloetniczność, wielokulturowość, wielojęzyczność. Doświadczenie tej ostatniej zaowocowało zresztą potem rozprawą doktorską<sup>5</sup>, licznymi pracami z teorii przekładu oraz tłumaczeniami z poezji rosyjskiej.

Poetyka własnych wierszy, początkowo kształtowana jeszcze pod wpływem edukacji socrealistycznej, to daremne wysiłki pisania utworów zaangażowanych, które mówiłyby o rzeczach ważnych i służyły „walce”.

Wierszowanie stawało się czynnością sprawnościową. Traciło swą pierwotną funkcję. Słowo nie dotykało mnie, nie chciało odbudowywać mnie i urzeczywistniać. (s. 32)

Ale wkrótce –

Empiria wymykała się ideologii. Ułomności natury człowieczej szczyły z rewolucyjnego patosu. (s. 33)

Odkrycie rozdźwięku między językami poezji i oficjalnego socu wiąże się z poznaniem Witolda Wirpszy. Z kolei narodzinom drugiego języka, którego wymagały metateksty krytycznoliterackie, patronował Przyboś; przypadają one na rok 1955 i mają podłoże awangardowe: wiarę w progres poezji i sprawiedliwość dziejową docenienia dzieł mało popularnych, lecz wartościowych, w stopniową eliminację kiczu i samooczyszczenie sztuki. Młodzieńcze spotkanie z autorem *W głąb las*, choć poprzedzone fascynacjami Gałczyńskim, którego Przyboś nie cierpiał, przypominały czyhanie młodego Tuwima na ocenę swej twórczości ze strony Staffa; nie mogły jednak liczyć na podobną przychyłność, jaką okazał Stary Poeta swemu wielbicielowi. We wspomnieniach pierwszych rozmów z Przybosiem pojawia się jednak motyw znacznie ważniejszy z perspektywy dzisiejszej: narodziny Balcerzana-literaturoznawcy, bo właśnie Przyboś namawiał go, by nie ufał zbyt innym poetom, ale raczej krytyce w osobach Sławińskiego i Kwiatkowskiego. Autorytet nowej, systemowej i naukowej teorii poezji był dla autora *Linii i gwaru* przedłużeniem jego wysiłków programotwórczych; oto szczęśliwie pojawił się strukturalizm, w którym dostrzegł nie tyle sprawne narzędzie opisu, ile forpocztę awangardy, zdolną by sztukę słowa nie tylko skodyfikować, ale i zreformować. Przyboś szukał

<sup>5</sup> E. Balcerzan *Styl i poetyka twórczości dwujęzycznej Brunona Jaśieńskiego*, Wrocław 1968.

oparcia w nauce, toteż pochwalał i wspierał pierwsze przedsięwzięcia analityczno-interpretacyjne, chociaż dokonanej przezeń oceny „złych poetów” (Gałczyńskiego, Majakowskiego, Jasieńskiego, a więc właśnie „mistrzów” młodego Balcerzana) żaden autorytet nauki nie był już w stanie zrównoważyć. Spowodowało to konflikt wewnętrzny adepta nauki i poety, doprowadzając do radykalnej reorientacji: obiektywizm literaturoznawcy skłaniał do poszerzania horyzontu poezji, natomiast jednoznaczny wybór własnej poetyki autorskiej oznaczał zawężenie (wprawdzie awangardowe) ścieżki poezjowania. W *Zuchwalstwach samoświadomości* wspomnienia młodzieńczych spotkań z Przybosiem przeplatają się jednak ze znacznie późniejszą przybosiologią – także pośmiertną i okołokonferencyjną. Przywoływane epizody początku znajomości oświetlone są więc interpretacją z perspektywy skutku, co jest nieuniknionym rysem każdego pamiętnikarstwa: dojrziała samoświadomość wpisuje dawne „zuchwalstwa” w mniej lub bardziej dystansujący cudzysłów.

Nie miejsce dane, nie miejsce urodzenia, ale właśnie miasto „zdobyte” i odkrywane wyzwala świeżość spojrzenia, potrzebę ogarnięcia i kolonizacji nowej przestrzeni wyobraźnią. Takim wyzwaniem i zarazem zagadką był Poznań, drugi po Szczecinie etap inicjacji literackiej. Tę część autobiograficznej opowieści, nim rozproszy się w szereg odrębnych epizodów, zostaje ujęta w coś w rodzaju konceptu lub ramy niespełnionej monografii. Poznań definiowany jest jako miasto, którego świadomość została rozpięta między historyczną dumą piastowskiej stolicy a swym kresowym położeniem z początku XIX wieku; miasto bez własnych tradycji literackich, ale dla literatury niezwykle gościnne; zadowolające się importem pisarskich wielkości, choć samo w ich dziełach prawie nieutralone. Cztery wymiary wizerunku grodu Przemysława tworzą: mit, stereotyp, kronika i epifania. Potem jednak obraz miasta rozpada się na szereg mniej i bardziej osobistych fragmentów – kolekcję miejsc ulubionych, a więc zagospodarowanych przez autobiografię: Opera (gdzie autorowi zdarzyło się statystować w *Kniaziu Igorze* Borodina), gmach Radia przy Berwińskiego (gdzie występował przed mikrofonem), palmiarnia, ogródek działkowy nad Wartą, Rynek Wildecki, czyli przestronie prywatne i półprywatne, zaułki naznaczone piętnem przelotnego lub trwałszego związku z osobą piszącego. Z miejsc publicznych są instytucje kultury: Teatr Nowy z nieukończoną rolą Łomnickiego, teatr Biuro Podróży, Muzeum Mickiewicza w Śmiełowie... Chociaż te reportażowe impresje „małoooczytniane” mają nadać piętno „mojości” Poznaniowi i okolicom, raczej oddalają od osoby, a naznaczone spojrzeniem profesjonalisty, wydają się kontekstem zewnętrznym, drugorzędym, naskórkowym.

Książka obejmuje kilkadziesiąt tekstów, zazwyczaj niedługich, w których mieszają się żywy gatunkowe: felietonu, reportażu, mikroeseju, portretu, anegdoty, marginaliów. Ostro spuentowane epizodyczne fabułki przeplatają się z obszerniejszymi partiami narracji pamiętnikarskiej, przy czym odnieść można wrażenie, iż nie zawsze felietonowa błyskotliwość dobrze służy archeologii pamięci. Miejskami w tym kalejdoskopie wspomnień, odkryć, rozbłysków, szkiców i zarysów chcia-

Iboby się dopisywać glosy własne – do czego zresztą zaprasza ta odmiana dzieła otwartego. Prasowa proveniencja poszczególnych fragmentów – publikowanych cyklicznie na łamach „Arkusza” i „Odry” – usprawiedliwia wtórność migotliwej mozaiki, ale zarazem pozwala docenić zmysł kompozycyjny widoczny w oryginalnym układzie. Oto dział II (*Wtenczas w Poznaniu*) – w paradzie smakowitych epizodów młodzięńczych inicjacji i początków osiedlenia się na stałe w tym mieście – otwiera perspektywa niemal kosmiczna: refleksje o Ziemi, snute wokół głośniejszej wystawy fotograficznej Yann-Arthusa Bertranda w Ogrodzie Luksemburskim *La Terre vue du Ciel (Ziemia widziana z nieba)*. Ten wstęp może nasunąć taką obserwację: w książce Balcerzana splatają się dwa sprzeczne wysiłki; pierwszym jest odczarowywanie przeszłości dalszej, drugim – zaklinanie w literaturę przeszłości bliskiej, tej reportażowej, gdzie troska o sens uniwersalny przewyższa potrzebę dokumentowania. Natomiast wspólna obu tym kierunkom narracji wydaje się potrzeba formy i wyrafinowana elegancja stylu.

Mnogość krzyżujących się, choć oderwanych spojrzeń, nieciągłość rzutów oka z pozycji bardzo różnych, ale zawsze zewnątrzliterackich – czytelnika na literaturę, pisarza na życie okołoliterackie, krytyka i uczonego na poezję, poety na krytykę i naukę – tworzy kalejdoskop zmiennych punktów widzenia i wzajemnych odbić, obraz względności zjawisk, uczy na przemian dystansu i osobistego zaangażowania. Konteksty literatury to zarówno dzieje instytucji (ZLP i SPP), jak i środowiskowe anegdoty dostarczające przyczynków do badań recepcji, na przykład o różnicy działania magii poezji na ignorantów i zawodowców.

Okolice literatury wypełniają przede wszystkim osoby. Nawiązując do przytoczonej anegdoty, wedle której Janusz Sławiński twierdził, iż osobowość to tylko „wiązka ról” (przeciw czemu zaoponowała Maria Janion), postuluje Balcerzan zreformowaną formułę „życiopisania” – odbierając dotychczasową na nią wyłączość „poetom wyklętym” i dopominając się „uczłowieczonego” wizerunku nauki:

Dlaczego, pytam, zmówiliśmy się, by „życiem” nazywać jedynie bolesną autodestrukcję? A konstruowanie? Z jakiej racji „życiem” (prawdziwszym?) ma być gra w pokera, dworcowa bezsenność, sny wytrzeźwieniowe, zastrzyki dożylnie i prochy, a nie mają być życiem wielogodzinne obrady komitetu organizacyjnego konferencji naukowej ani (z reguły honorowe) prace w gremiach dzielących fundusze i nagrody, ani pomysły edytorskie czy redagowanie ksiąg zbiorowych? (*Sześć początków o Januszu Sławińskim*, s. 97)

Wiele z takich rozproszonych uwag można poszerzyć o konteksty znacznie szersze niż samo życie konferencyjne z jego przyległościami. Moje skojarzenia przenoszą na przykład w sferę poczucia realizmu i psychosocjologii prawdopodobieństwa: z reguły prawdziwsze wydają się wiadomości złe, a za przedstawienia najbardziej wiarygodne uchodzą najciemniejsze zaułki świata i wydobywane z nich rewelacje. Wytwory polskiej prozy, prezentujące różne formy patologii społecznej bywają promowane jako „kawał świeżego mięsa” – niezależnie od tego, na ile są empirycznie weryfikowalne. Natomiast próby przedstawiania jakichkolwiek zjawisk pozytywnych odsyła się do rezerwatu kiczu razem z literackim stylem, gdyż

za „prawdziwszy” uznawany jest kolokwialny, najlepiej wulgarny, połamany i dotknięty afazją, a więc raczej język bram i ulic niż biurów i sal konferencyjnych. Postulat równouprawnienia zdarzeń konstruktywnych z uprzywilejowaną destrukcją wydaje się ze wszech miar słuszny. Z pewnością bowiem życie konferencyjne (oczywiście razem z całym folklorem biesiadnym i kuluarowym) bywa co najmniej równie interesujące, jak głośne skandale i tarapaty osobiste Baudelaire’a, Bursy czy Wojaczka, choć zapewne tworzą legendę biegunowo różną – elitarną, a nie popularną, środowiskową, a nie widowiskową.

W galerii portretów konterfekt Wiktora Woroszyńskiego jest wyjątkiem – jako scalony monograficznie, syntetyczny i zamknięty, bo spisany już z perspektywy śmierci pisarza, a więc bliski formie literackiego nekrologu. Pozostałe sylwetki są „otwarte”, a więc fragmentaryczne, złożone z epizodów spotkań, od których liczby i częstotliwości zależy stopień rozproszenia bądź scalenia w sekwencję fabularną czy syntetyczny portret. Wizerunki dynamiczne, a więc „wielokrotne” jak postacie Picassa czy fotografie Witkacego, mają Sławiński i Barańczak. Zlepkiem epizodów jest konterfekt Białośzewskiego (co zresztą współbrzmi z techniką autokreacji poety, który stworzył kiedyś swój *Autoportret rozproszony*). Składają się nań wspomnienia ze spotkań autorskich w Poznaniu i wizyty IBL-owskiej w warszawskim mieszkaniu, ale najważniejsze wydaje się odkrycie osobiste: otóż autor *Mylnych wzruszeń* zostaje zidentyfikowany jako ten, który odpowiadał młodemu Balcerzanowi-poecie w listach z redakcji „Świata Młodych”. Wydaje się, że portreciście wcale nie zależy ani na pełnym studium biograficznym, ani na sensacyjno-śledczym prześwietleniu osoby, ale przeciwnie – na przyczynkarskim wykreowaniu tajemnicy i zagadki, która wzbogaci środowiskową mitologię literaturoznawstwa.

Portret Herberta ma najpierw postać rozproszoną, jest garścią wspomnień okrucich, zbiorem cytowanych wypowiedzi ustnych na tematy literackie i nieliterackie, których nigdy on sam nie zapisał.

Wynotowałem tu „w stanie surowym” niektóre zapamiętane przeze mnie wypowiedzi poety – z różnych czasów i miejsc. Nie tylko w mojej pamięci teksty wiodą byt zuchwale suwerenny, niepostrzeżenie zmienia się ich szyk, rytm, intonacja – oddalają się od siebie lub łączą w nowe syntagmy. Zapewne i to, co mówił Herbert, zmieniło swe kształty pierwotne, z całą jednak pewnością ocalał sens. (s. 80)

Komentarz ten nasuwa możliwość pewnego uogólnienia, które dotyczy tyleż biografistyki, co pisania monografii twórczości: każda z tych form jest bowiem aktem scalenia arbitralnego, montażem dobranych fragmentów, samowolnym konstruktem tożsamości domniemanej, a więc zastygłą hipotezą cudzego życia, dokonaną przez sztuczną integrację epizodów, śmiercią utekstowania tego, co formę życia zachowywało jedynie poza tekstami. Balcerzan nie wierzy w tożsamość zamkniętą i ostatecznie zdefiniowaną; wierzy w ograniczoną możliwość narracyjnego jej kreowania. Jest jeszcze drugi portret Herberta, którego autor w żaden sposób nie konstruuje, ale – przeciwnie – podważa. To portret zmodyfikowany przez pośmiertną sławę poety, przez publikacje ineditów, zwłaszcza listów. Tu Balcerzan

protestuje przeciw bezceremonialnym wykładniom wyciąganym z korespondencji pisarza w celu nowego oświetlenia jego dorobku. *Implicite* można tu wyczytać znowu polemikę metodologiczną, a przynajmniej zgłoszenie poważnej wątpliwości do powszechnej dziś procedury zrównującej rangę niewspółmiernych źródeł: kreacji poetyckiej z wyznaniem pozaartystycznym. Ponowoczesna metoda w praktyce służy bowiem ostatecznie celom bardzo staroświeckim – wydobywa na jaw te fakty, których status wynika z niezłomnej wiary w jakąś „prawdę” (której zresztą przy innych okazjach odmawia się prawa do istnienia). Balcerzan wprawdzie takich uogólnień nie czyni, ale – jak się wydaje – leżą one gdzieś na przedłużeniach jego refleksji.

Tytuł jednego ze szkiców – *Poeta i etykieta* – wydaje się czytelną parafrazą formuły nowofalowej „etyka i poetyka”. Jednak ta asocjacja brzmieniowa i etymologiczna wprowadza w błąd zapewne celowo, by zreinterpretować relację sztuka–życie; przenosi bowiem z problematyki zawodowego etosu pisarza na personalne peryferie egzystencji – w sferę konfliktu prywatności autora z jego publicznym wizerunkiem wynikającym ze społecznych uwikłań profesji artystycznej. Ciekawym przedmiotem rozważań staje się więc to wszystko, co czyha za bezpiecznym parawanem tekstu, co wystawia wrażliwą osobowość twórczą na próbę komunikacji bezpośredniej i odgrywanie trudnej roli bohatera. Rekonesans tej problematyki obejmuje więc relacje: poezja–obyczaj, poezja–życie towarzyskie, poezja–rytuał i bunt, poezja–sława. Narzucanie dworskiej etykiety świeżym noblistom narusza ich autonomię przez przydział artystom słowa ról obcych – w stopniu mniejszym (Miłosz) lub drastycznie większym (Szymborska). Rozwijając te uwagi wkraczające na słabo zbadany obszar psychosocjologii literatury, można dodać, że laureat staje się ofiarą Gombrowiczowskiej gęby, aktorem w cudzym teatrze, a potem – towarem na nowo opakowanym i podlegającym dystrybucji masowej wedle nagle zmienionych zasad rynku.

Refleksja okółoliteracka obejmuje także problem wspólnoty pokoleniowej, która przez niektórych poetów hałaśliwie manifestowana, przez innych badaczy przeakcentowana, przez innych kwestionowana, konstytuuje się w świadomości dopiero z oddalenia, z perspektywy wieku dojrzałego; wtedy bowiem wszyscy niedostrzeżeni i spóźnieni zwoływani są na apel pamięci. W roczniku *Balcerzana* (1937) pojawiają się na tej właśnie zasadzie postacie nieoczekiwane, ściągnięte z różnych przestrzeni kultury, a tworzące dziwną konfigurację wskutek nagle odczytanych podobieństw: Andrzej Tarkowski, Czesław Niemen, Georges Perec...

My: niemowlęta ery wieszczb katastroficznych i początków stalinowskich czystek. Przed-szkolaki wojny gorejącej. Uczniacy wojny zimnej. Maturzyści odwilży. Właśnie ich (nas) wskazałbym bez wahania jako tę wspólnotę, która dała mi i daje dotąd poczucie bezpieczeństwa – bezdyskusyjne i nieodwołalne. (*Późne „my”*, s. 103)

To przecież spóźniona manifestacja pokoleniowa, deklaracja tryskająca poetyckim patosem, ale bezinteresowna bo retrospektywna, zatem pozbawiona uzasadnień taktyczno-ofensywnych, a ukierunkowana genealogicznie. A więc i ten gene-



racyjny aspekt tożsamości wchłonięty zostaje w narrację historycznoliteracką i konstatuje się dopiero w czasie przeszłym – tak samo, jak epoki i przełomy.

Część III książki zatytułowana *Impet zamętu* skupia refleksję periodyczną nad cezurą końcową XX stulecia, którą autor proponuje umieścić w roku 1981. Do ważniejszych fragmentów w całym hybrydycznym zbiorze należy *13 akapitów o poezji* – szkic podsumowujący epokę transformacji ustrojowej i jej wpływ na ówczesną literaturę. Stosunek do „bruLionowców” i zmian w życiu literackim wyważony tu został perspektywą całego stulecia, która tonuje fascynacje i oburzenia, wpisując niedawne fenomeny w rytm dziejów. Wiele wykrojonych z tego tekstu aforyzmów domaga się wręcz ekspozycji – jak ten o literackiej „walce o byt” i strasze pokolenia:

nierzadko rzeczywistym celem waśni literackich okazuje się bezpardonowe unicestwienie konkurencji, wyeliminowanie cudzego dorobku, wyrzucenie z bibliotek, wykreślenie z leksykonów, przepędzenie z historii, wepchnięcie w próżnię odbiorczą. I choć tak bywa często, my (obserwatorzy naiwni) z uporem wypatrujemy szlachetnego dramatu – w dżungli im. Karola Darwina. (s. 157-158)

W takiej demystyfikacji dziejów sztuki słowa – jako jeszcze jednego obszaru walki o władzę – można dostrzec krytykę samej konwencji narracji historycznoliterackiej, gdzie szlachetne pojęcia: „debiut”, „manifest pokolenia” czy „zmiana warty” skrywają zawiść, podstęp i zwyczajne świństwa popełniane w myśl zasad Machiavellego. Oczywiście stoickie spojrzenie historyka poezji, zwłaszcza awangardowej, które zachowuje Balcerzan, pozwala zjawiska te skonstruować jako akcje i reakcje typowe, choć w bliskim sąsiedztwie cytowanych uwag pojawia się i niepokój o przyszłe zasoby tradycji, i obawa, że mogą one ulec trwalszej deformacji dokonywanej przez postmodernizm – ale nie ten erudycyjny, lecz w odmianie popularnej, a więc wykazujący ignorancję wobec doświadczeń poprzedników.

Oto w czasie, gdy o własności prywatnej mówi się jak o *sacrum*, rzecznicy swobód postmodernistycznych traktują twórczość (czyli własność) poprzedników jak dobro niczyje. W gospodarce mamy liberalizm, w literaturze komunizm wojenny. (s. 162)

Wiele z takich sentencji mogło zaistnieć jedynie w felietonistyce. Śmiałe metafory w tekście naukowym zginęłyby w trybach innego dyskursu; zostałyby obywatelnione siecią obowiązujących pojęć zależnych od panujących konwencji badawczych.

Felietony zgromadzone w części ostatniej udzielają rozmaitych, bo pierwotnie rozproszonych i okazjonalnych, odpowiedzi na pytanie tytułowe: *Czym zajmują się literaturoznawcy?* Przywołane zostają konteksty związane już z profesją autora: poezja a poezjoznawstwo, poezja a dydaktyka uniwersytecka, poezja a filozofia, poezja a polityka... W tyglu tematów mieszają się więc wielogatunkowe okrucy: epizody z pracy uniwersyteckiej, glosy do książek własnych i cudzych, komentarze do bieżących zjawisk, a więc o sztuce przekładu, poetyce i polityce (temacie konferencji naukowej w 1981 r.), konkursach literackich, strajku studenckim w po-

znańskim Collegium Novum (luty 1981), „szkołach pisania”, potrzebie interpretacji, „skrzydlatych słowach” jako kodzie porozumienia, „faktach medialnych”, grafomanii, postmodernizmie, Baudrillardzie i Markowskim... Cała finałowa sekwencja tekstów zawiera krytykę dekonstrukcjonizmu, nazywanego tu ND – Nową Doktryną. Zastrzeżenia dotyczą między innymi „modernizacji” i „postmodernizacji” historii kultury, a więc narzucania rodzimym dziejom sztuki słowa sieci pojęć nieadekwatnych do swoiście polskiego charakteru epok i rytmu przełomów.

Te felietonowe marginalia nauki w jakimś stopniu stanowią przeciwwagę dla zapatrzonych w siebie dyskursów teoretycznych, otwierając okna na nieoczekiwaną empirię, na świat niewirtualny, niezłożony z urojonych modeli, lecz w pełni weryfikowalny dziejami literatury i przywracają na chwilę wiarę w zapomniane racjonalne prawa umiaru i zdrowego rozsądku. Owa *Izba wytrzeźwień*, jak autor zatytułował jeden ze swych cykli w pierwodrukach prasowych, funkcjonuje w książce inaczej – wydaje się głosem złagodzonej, ujętym cudzym słowem okładki książki autorskiej; nie krzyczy z łamów, nie domaga się polemik; starcie poglądów wydaje się tu nawet bezkolizyjnym wyminięciem; przeciwne głosy w tym sporze zostają trwale rozdzielone przydziałem do odległych od siebie pólek literaturoznawczego księgozbioru – jak właśnie izba wytrzeźwień mieści się z dala od luksusowego baru, gdzie podaje się wyłącznie trunki z obcojęzyczną etykietą. Zauważyć jednak warto, że felietonowa zadziorność autora w niczym nie osłabia wagi jego argumentacji, choć zarazem ta ostatnia wydaje się głosem endemicznym, donkiszoterią, szarżą lekkiej kawalerii na czołgi dekonstrukcji skazaną na klęskę. Błyskotliwy dystans, przeciwstawiony filozoficznemu wyrafinowaniu, nasunąć może pytanie (dopuszczalne tylko w pierwszej odmianie dyskursu) o przyszłą recepcję obu przeciwstawnych, ale zarazem coraz bardziej obcych sobie porządków: co ocaleje, a co jest efemerycznym skrzeblem, skazanym na – by nawiązać do innej książki Balcerzana – „śmiech pokoleń – płacz pokoleń”<sup>6</sup>.

Właśnie. Czy wyraźny tu rozdźwięk poglądów z ND da się sprowadzić naprawdę do konfliktu pokoleń? W jednym z końcowych felietonów cytuje autor osobliwe życzenia przedwigilijne, które usłyszał od jednej ze swych doktorantek: „ – A ja życzę, żeby się pan profesor odnalazł we współczesności”. Balcerzanowi nasunęła się poniewczasie trafna riposta: „No a ja ci życzę, żebyś się odnalazła w historii”. Ten potencjalny dialog w jakimś stopniu wskazuje na odmienne kompetencje dwóch generacji: zanurzenie w kipiącą terażniejszość z jednej, a panoramiczne widzenie przeszłości z drugiej strony, które dopiero łącznie tworzą krajobraz mieszczący się w możliwym, a zaniedbanym widnokregu przyszłej refleksji literaturoznawczej.

Autor *Zuchwałstw samoświadomości* taką korektę perspektywy przyjmuje; natomiast nie sposób przewidzieć, na ile jego oponenci zdolni są do podobnej korekty i czy dystans do wyznawanych metodologii pozostanie w tym polemicznym rozdźwięku na zawsze asymetryczny. „Wszyscy nie mogą mieć racji” – przytacza Bal-

<sup>6</sup> E. Balcerzan *Śmiech pokoleń – płacz pokoleń*, Kraków 1997.

## Roztrząsania i rozbiory

cerzan przy innej okazji wypowiedź Jerzego Ziomka. Ten aforyzm implikuje wnio-  
ski rozmaite, także od siebie najdalsze, a właśnie od nich zależy, czy nauka o lite-  
raturze (jeśli w ogóle nie zaniknie jako dyscyplina, rozplywając się w badaniach  
tekstualności wszelakiej) poruszać się będzie efemerycznymi dzikimi ścieżkami  
przez błyskawicznie rozrastającą się dżunglę pomysłów (w większości importowa-  
nych) czy też – siecią zintegrowanych autostrad. Czy jutrzejszy badacz będzie  
uczestnikiem zabawy w podchody z plecakiem pełnym zepsutych busoli, czy też  
odzyska wiarę w jakąkolwiek użyteczność swych dociekań, trwającą nieco dłużej  
niż dyskurs i echa polemik podszytych niemądrą satysfakcją z posiadania efeme-  
rycznej racji.

**Piotr MICHAŁOWSKI**